3

35 GR

ŚWIAT SZKOLNY

Z. M.

MIESIĘCZNIK

WYDANY STARANIEM SAMOPOMOCY SZKÓŁ ŚREDNICH W CZĘSTOCHOWIE.

ROK VI. Kwiecień 1932 Rok Nr. 6(41)

Z NOWYCH WYDAWNICTW.

— **O. Żukowski, por. mar. „Współczesne okręty wojenne“.** Warszawa 1932. W. I. N. W. str. 100. Cena zł. 2.90.

Posiadamy własne wybrzeże i mamy już własną flotę wojenną, ale właściwie poza fachowcami i nieliczną garstką ludzi mało kto wie, jak ona wygląda i jakie znaczenie posiada dla państwa — zobaczy w ilustrowanym piśmie załączoną fotografję jakiegoś naszego statku wojennego, mając bardzo mgliste pojęcie, jakie ich są właściwości, zadania i cele.

Tymczasem skrawek polskiego morza nie jest przeznaczony tylko dla letnich wywczasów inteligencji — jest to nieodłączna, organiczna część Polski gospodarczej i kulturalnej. Należy więc do wszystkich warstw, które dlatego powinny go znać i myśleć o jego utrzymaniu i obronie przed zachłannością i propagandą wroga. Obowiązkiem więc nietylko odpowiednich czynników lecz niemal każdego jest szerzyć propagandę morskiej siły zbrojnej, by nie dać się zaskoczyć sąsiadom w razie wojny. To też z radością zawsze witamy tego rodzaju publikacje o morskich siłach zbrojnych jak obecna praca, która zapoznaje nas bliżej z temi zagadnieniami i przypomina ich dla nas żywotność.

Autor, marynarz i popularny pisarz wojskowy w sposób niezwykle przystępny, ciekawy i zarazem wyczerpujący zapoznaje nas z całokształtem zagadnień floty wojennej, jej składu, zadań i t. p. W rozdziałach praca powyższa podaje:

1) zadania marynarki w czasie wojny i pokoju,
2) szkic historyczny,
3) wymagania stawiane budowie współczesnego okrętu wojennego,
4) podział floty wojennej,
5) klasy i typy okrętów wojennych,
6) przeznaczenie poszczególnych klas okrętów i ich zalety,
7) okręty pomocnicze,
8) kilka słów o rozbrojeniu na morzu.

Wartość pracy niesłychanie podnosi 50 rysunków oraz piękne jej wydanie. Zainteresuje ona niezawodnie szerokie sfery społeczeństwa i spełni należycie swoje zadanie informacyjne i propagandowe.

WIOSENNY CZAR.

Są dni, gdy słońce radośnie świeci,
Złotych promieni siejąc czary,
Energję czynu w sercach nieci,
Zwątpienia gorzkie niszcząc mary.
I są wieczory ukojenia,
Co wolno się do duszy sączy,
Nieznane budząc w niej pragnienia,
Do wielkich działań zapał rączy.
I są czarowne, cudne noce,
Gdy księżyc mknie po czarnem niebie,
I przepotężne jakieś moce,
W wszechświecie każą znaleźć siebie.
Te dni, te noce i wieczory
W darze przynosi nowa wiosna,
Na nowe życie ludzkie tory
Sunie rozśmiana i radosna.

St. Krysiński, Gimn. Zw.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

Rok VI. CZĘSTOCHOWA, KWIECIEŃ 1932 R. Nr. 6 (41).

Młodzież ucząca się a młodzież proletarjacka.

Od chwili zdobycia niepodległości naszego państwa, młodzież przeżywa okres kryzysu. Złożono broń, skruszono kajdany niewoli, spełniły się marzenia, i — nastała twarda praca ugruntowania naszej państwowości. Przy tej pracy pierwsze miejsca zajęły pokolenia starsze. Młodzież zasadniczo od aktywnej pracy została usunięta. To jest powodem, że dziś — zdawałoby się — nie posiadamy żadnej idei. Tak jednak nie jest. Dążeniem naszem winna być troska o utrwalenie potęgi niedawno odzyskanego państwa. Tembardziej w dobie największego kryzysu gospodarczego spada na nas duża i odpowiedzialna praca. Idąc spokojnie przez życie, nie spostrzegamy prostych naogół i nie wymagających obserwacji zjawisk, które w przyszłości zadecydować mogą o sile wewnętrznej naszej organizacji państwowej. Jednym z przejawów ich obserwowania jest życie robotnika.

Winniśmy życiem jego żywiej się zainteresować, ciekawość naszą powinny również pobudzić tysiące młodzieży, ciężko pracującej, wynędzniałej i w strasznych warunkach mieszkającej. Czemu należy przypisać tę obojętność, a nawet i pogardę, która cechuje nas w odniesieniu do młodzieży proletarjackiej, jednakowe z nami mającej prawo do życia.

Czyż istotnie jesteśmy w stanie głębiej się zastanowić nad rolą tych tysięcy młodych robotników, mających wstąpić jak my w życie i budować przyszłość Polski. Wyjdźmy bowiem z założenia, że my, inteligencja, bez ich pomocy, pracować nie będziemy w stanie. Tylko łączność społeczeństwa da oczekiwane cele i doprowadzi do świetności. Jaki jednak panuje dziś stosunek między temi dwiema warstwami: inteligencją a proletarjatem. Dwie te warstwy dzieli przepaść, wyrosła na tle różnych warunków życiowych. Do nas należy zerwanie tych stosunków, musimy przerzucić pomost między przeciwne sobie warstwy. Zwróćmy się do młodzieży proletarjackiej, nawiążmy między nią a sobą nić pojednania, jako fundament przyszłego porozumienia dwóch wrogich do siebie warstw.

Nawiążmy do świetnych tradycyj młodzieży epoki rozbiorowej, która zwracała swe kroki do fabryk, by gotować proletarjat do walki o niepodległości. Pójdźmy w te ślady, by walczyć z przesądami klasowemi, by swym rowieśnikom nieść niezabarwioną demagogicznemi przesłankami wiedzę o Polsce i obowiązku do niej każdego obywatela.

Nie zapominajmy, że młodzież ta, nieraz nie ze swej winy odrażająco wyglądająca, to synowie bojowników o wolność narodu, który z bronią w ręku, pod wodzą Budowniczego naszej Ojczyzny szli walczyć, znacząc drogę śmiercią i krwią. Gdy przypomnimy sobie rok 1905, to kogoż widzimy walczącego na ulicach Warszawy? Robotników. Komuż nieznane jest nazwisko Okrzei, bohatera-robotnika, który zginął za wolność na stokach cytadeli. My, którzy w ludziach czynnie walczących o wolność Polski, zwykliśmy widzieć ucieleśnie-

nie dążeń pokoleń, cenimy robotnika jako tego, który pierwszy z pośród innych warstw stanął do boju.

W warstwie tej znajduje się potężna siła.

Młody robotnik, który wcześniej zwykle niż inni staje do walki z trudem życia, który, pozbawiony często opieki moralnej, styka się z brudem i fałszem wszędzie czyhającym, jest elementem bądź co bądź groźnym. Od nas zależy w jaką stronę siła ta zostanie skierowana.

Szczególnie dzisiaj w trudnych warunkach stan ten jest najbardziej niebezpieczny. Gdzież się rozkrzewia komunizm? Właśnie w kołach młodzieży robotniczej, która nie znalazłszy opieki, garnie się tam i tworzy najbardziej straszny dla państwa element. Przed nami leży więc poważne i nacechowane dużym trudem zadanie, może nieraz kryjące w sobie znamiona syzyfowej pracy. Musimy szukać z tą młodzieżą porozumienia. Musimy odsunąć ją od wrogich wpływów, musimy zaznaczyć, że cenimy w nich również ludzi i równych sobie obywateli. Nie wierzę w niemożliwość tej pracy. Dawniej młodzież organizowała placówki naukowe przy fabrykach i uczyła tam robotników.

Dlaczegóż te tradycje nie mogą być odnowione. Spotkam, się z zarzutem, że rolę oświecenia spełnia dziś szkoła, rolę zaś opieki — organizacje robotnicze i społeczeństwo. My jednak dajmy tej młodzieży serce, dajmy jej miłość, na każdym kroku zaznaczajmy nasz przyjacielski stosunek do tych warstw. Praca ta winna być prowadzona przy każdej sposobności, czy to w rozmowach, czy w towarzystwie, czy w czasie przechadzki. Młodzieży proletarjackiej trzeba wskazać ideały, za jakiemi winna dążyć. Konieczną jest jednak rzeczą, by wszczepiać je przez cichą pracę, by podawać je nie w formie frazesów na uroczystościach, jak to zwykle bywa. Taki sposób wytyczania celów i dążeń robotnika, praktykowany dziś przez mówców, odbija się głuchem echem w sercach tych ludzi. Wstrzymuje się narazie od podawania projektów, w jaki sposób powinna być ta praca kontynuowana, twierdzę jednak, że środków jest dużo. Może na łamach naszego pisma wywiąże się dyskusja, może sprawa ta zainteresuje większy ogół kolegów i koleżanek, i na szerszą skalę zorganizujemy naszą działalność. Pewien jestem i nie wątpię w to, by praca ta nie przyniosła żadnych korzyści. My, młodzież, na ołtarzu ojczyzny też złożymy skromny kwiatek do korony wysiłków z dumą, że zbliżyliśmy do siebie dwie warstwy, że przyczyniliśmy się do poznania przez proletarjat pojęcia ojczyzny i uczyniliśmy z niego świattych i lojalnych obywateli.

W. Jarmiński, G.R.T.

O popularyzatorach i książkach popularnych.

Niektóre działy literatury są przez szerszy ogół czytelników niejako faworyzowane. Do nich należą przedewszystkiem beletrystyka i poezja. Dziwić się temu nie można, a tembardziej nie należy czynić z tego powodu zarzutów czytelnikom. Jest jasne, że człowiek woli niekiedy znaleźć odpoczynek dla zmęczonego umysłu w książce beletrystycznej, niż „pracować nad książką naukową".

Dlatego też zupełnie inny jest los książek o treści naukowej, naprzykład z dziedziny socjologji, historji, ekonomji, gramatyki, fizyki, czy astronomji. Są to książki zbyt specjalne, aby mogły interesować wszystkich. Dla specjalistów wydać się one mogą ciekawe, pociągające, ba — piękne, dla laika natomiast nawet nudne. I tu właśnie otwiera się szerokie pole pracy dla popularyzatora, t. zn. pisarza, który w swych książkach stara się uprzystępnić pewne naukowe zagadnienia szerokim masom.

Mojem zdaniem nieodzowną cechą dobrego popularyzatora jest gruntowna wiedza. Zaletę tę muszą posiadać przedewszystkiem pisarze, uprzystępniają-

PRZEMINĄŁ CZAS.

Już przeszedł czas, czas zgrozy,
walk i bitwy,
Gdy panem był nam tylko sęp i kruk.
Przeszedł czas krwawej za wrogiem
gonitwy
I żołnierz wrócił w swój rodzinny próg.
Już przeszły dni, niewoli dni i lęku,
I wolny ptak nad gór się szczyty wzbił,
Nikt go nie trzyma już przemocą
w ręku,
Więc siadł na skale, w nią swe szpony
wbił.

I patrzy ten podniebnej pan krainy
Swym wzrokiem silnym jak hartowna
stal,
Patrzy na polskie wyżyny, niziny,
Ogarnia wzrokiem wielką, jasną dal.

I stoi piękny, niewzruszony biały,
Ten polski ptak, tchnie wonią polskich
pól.

Przeminął czas, gdy okrwawiony cały
Musiał wciąż walczyć, cierpieć
straszny ból.

Przeminął czas i więcej już nie wróci.
Biały nasz ptak stoi na straży tam...
A Polska mu piosenkę swą zanuci,
O strzeż Jej ptaku srebrno pióry nasz!

Ułożyła: „Ozyrys“ (Nazaret).

---

cy nauki ścisłe. Za przykad takiego popularyzatora posłużyć mógłby Faraday, genjalny fizyk angielski. W swem dziełku p. t. „Dzieje świecy“ stara on się zejść z wyżyn swego genjuszu do poziomu umysłu przeciętnego człowieka. Faraday działa w swej książce nietylko na nasz rozum, lecz także wyobraźnią i osiąga swój cel. Książka ta jest dostępna dla każdego przeciętnie inteligentnego człowieka, bez względu na jego wiadomości z zakresu fizyki.

Jest zrozumiałe, że sama tylko wiedza (i oczywiście talent pisarski) nie może zdobyć pisarzowi miana dobrego popularyzatora. Aby na nie zasłużyć, musi on posiadać humor i poczucie dowcipu, styl zaś lekki i jasny. Wtedy dopiero może stworzyć dzieło popularne, posiadające obok wartości naukowych także poważne walory artystyczne.

Wśród obecnych pisarzy polskich na czoło popularyzatorów wysuwa się niebylejaki mistrz słowa: Stanisław Wasylewski. Jego książki o treści historycznej odznaczają się niezrównanym wdziękiem, który czyni je tak miłe czytelnikowi.

W „Zerwanej Kokardzie“ naprzykład daje się odczuć nietylko subtelny dowcip, lecz także liryzm Wasylewskiego. W suchych faktach historycznych stara on się znaleźć zawsze coś, co przemawia raczej do uczuć, niż do rozumu czytelnika. Wynajduje w historji napozór nieznaczące szczegóły, które rzucają jednak na znane wszystkim postaci Kościuszki, p. Walewskiej, Orlątka lub innych nowe światło. Pokazuje Wasylewski z innej strony, niż historyk i stwarza dla nich w sercu czytelnika jakiś sentyment.

Bardziej jeszcze, niż w „Zerwanej Kokardzie“ uwydatnia się popularyzatorski talent Wasylewskiego w książce p. t. „Na końcu języka“. Książka historyczna, nawet niepopularnie napisana, może zainteresować szersze grona czytelników. Gramatyka natomiast, lub nauka o języku interesują, zdawaćby się mogło, wyłącznie specjalistów.

Wasylewski przekonał swym utworem, że jest inaczej. Książka o różnicach językowych na terenie Polski nabrała pod niezawodnym piórem Wasylewskiego rumieńców życia, tak, że czyta się ją ze stokroć większem zaciekawieniem, niż najbardziej sensacyjną powieść. Przy czytaniu „Na końcu języka“ wydawać się może, że Wasylewski to jakiś alchemik, który w probówce łączy i gotuje najrozmaitsze słowa, a nakoniec otrzymuje wynik najzupełniej niespodziewany.

Komuby przyszło do głowy, że napozór niewinne słówko „wszak“ nie jest wcale tak bardzo małoważne, jakby się zdawało? Po tem „wszak“ (poucza nas

Wasylewski) można poznać, że osobnik, który go używa wychował się i mieszka w Warszawie. Od Wasylewskiego można się także dowiedzieć innych ciekawych rzeczy: naprzykład, że w Warszawie ludzie kochają się w końcówce „ak" i że tam mówi się już nietylko uczniak, „pikolak", drabiniak, lecz także „osobniak", „dożywotniak" i t. d. (Są to sprytnie podsłuchane rysy charakterystyczne „gwary Warszawy").

Dowiedzieć się można także, że natomiast we Lwowie „Piotryk jada placyk z czosnykiem" i że tamże „...szwedry**gów** i dziady**gów** wszędzie pełno"...

Mówi również Wasylewski o wpływie mody na rozwój języka i znowu wyciąga ze swych rozważań najzupełniej niespodziewane wnioski; że naprzykład „przekabacić" wywodzi się w prostej linji od słowa kabat, a rubaszność od rubachy, (która nie jest niczem innem, jak tylko częścią kozackiego ubioru). Mimo, iż w „Na końcu języka" porusza bardzo ważne sprawy (broni mianowicie prawa do odrębności językowych we wszystkich dzielnicach polskich) i mimo, że poucza czytelnika, stara się go także zainteresować i zabawić dowcipnem ujęciem tematu, który pod piórem innego pisarza stałby się zapewne nudnym wykładem.

W wyżej wymienionej książce najbardziej wypowiedział się Wasylewski, jako znakomity popularyzator. Sztuka popularyzatorska Wasylewskiego jest tem większa, że uprzystępniając czytelnikowi niektóre działy nauki, nie ucieka się on nigdy do zastosowania fabuły powieściowej, jak naprzykład Verne, który przepowiadając w swych książkach najrozmaitsze zdobycze techniki, będące wtedy jeszcze marzeniem, a obecnie już rzeczywistością, zawsze posługiwał się fabułą. Zrozumiałe zaś jest, że bezporównania łatwiej jest popularyzować jakieś problemy przy pomocy fabuły, niż bez niej.

Obok gruntownej znajomości tematu, poczucia humoru, lekkości stylu jest jeszcze jeden czynnik, który popularyzatorowi może ogromnie ułatwić pracę. Jest nim poetycka fantazja. Wpadła mi niedawno do ręki książka p. t. „Eos, czyli granice astronomji" Jeansa. Czytając tę książkę dochodzi się do wniosku, że Jeans jest nietylko, głębokim uczonym, lecz także niezrównanym popularyzatorem. Mówi on o rzeczach niezmiernie trudnych tak, że każdy może jego książkę zrozumieć. A przytem Jeans jest niekiedy także poetą, szczególnie wtedy, gdy z niezwykłą obrazowością kreśli losy wszechświata i te tak ogromnie trudne pojęcia z zakresu astronomji ujmuje tak, że przemawia zarówno do rozumu, jak i do duszy czytelnika.

Opierając się na teorji, że materja zamienia się w promieniowanie, tak opisuje Jeans koniec wszechświata: „I nie byłoby ani światła, słońca, ani gwiazd, tylko chłodna świetlistość promieniowania rozlanego jednostajnie w przestrzeni..."

W słowach tych dźwięczy nuta prawdziwej poezji. Wprost wierzyć się nie chce, że to nie szumny zwrot reteryczny, a tylko wyrażona w słowach matematyczna teorja Jeans'a, który nie uciekając się do przypuszczeń, kreśli w niesłychanym skrócie historję wszechświata od jego pierwszej chwili, aż do momentu, gdy:

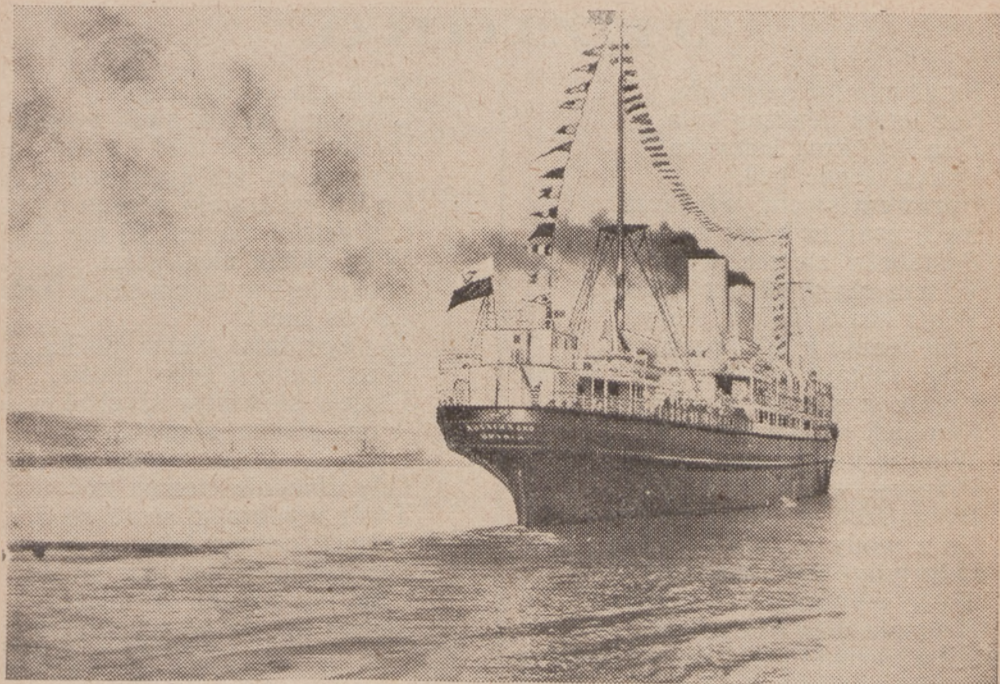
„Nie będzie gwiazd, ni słońca,
Skończy się świt i dzień
Poryki fal ucichną
I zamrze wszelki głos
I tylko sen wieczysty
W wieczystą, wieczną noc"...

Na tych kilku przykładach, wybranych celowo z różnych dziedzin, starałam się ustalić, jakim warunkom musi odpowiadać dobra książka popularna.

Na zakończenie chciałabym jeszcze wyjaśnić, czemu książki wielkich „popularyzatorów" są u nas tak mało „popularne". Otóż wydaje mi się, że część czytelników odstraszają poważne tematy, omawiane w tych książkach; inna część czytelników, hołdujących snobizmowi, boi się poprostu książek popularnych, uważając, że co popularne, to pewno zbyt proste i niegodne uwagi.

Ta druga kategorja jest zresztą bezporównania gorsza od pierwszej.

Halina Oderfeldówna, G.P.J.S.



„Kościuszko“ na morzu.

DZIEŃ W CHOCIMIE.

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę zbliżała się chwila, w której po raz pierwszy miałem przestąpić granice Polski. Doczekaliśmy się nareszcie upragnionej środy, dnia pamiętnego tak w mojem życiu, jak i również życiu wszystkich uczestników obozu, dnia wycieczki do Rumunji. Po raz pierwszy miałem sposobność porównać dwa kraje: Polskę i Rumunję, chociaż coprawda powierzchownie.

Wyruszyliśmy wcześnie, brzegiem Dniestru do Okopów Św. Trójcy odległych od naszego obozu o 14 klm. W urzędzie celnym obejrzano nas dokładnie od stóp do głów, poczem spisano nam wszelkie wartościowe przedmioty, jakie mieliśmy przy sobie, nawet i mój pierścionek, wyciągnięty przez papugę u kataryniarza. Naprożno oponowałem, że pierścionek jest ze zwykłej blachy. Celnik uparł się, że jest złoty. Wkońcu z rezygnacją machnąłem ręką. Po godzinnych bisko formalnościach, przewieziono nas pod eskortą na stronę rumuńską. Gdy spojrzałem na polską stronę, wydała mi się jakąś drogą, kochaną, zdawało mi się, że opuściłem Polskę na zawsze. Z zadumania tego obudziły mnie nagle słowa: „Prosle za mnie“. Obejrzałem nowego przybysza z niezmiernem zainteresowaniem, nic jednak prócz wychudłej twarzy, czekoladowego ubrania i butów ważących przynajmniej z 10 kilo, ciekawego nie zauważyłem. Właściciel owych butów zaprowadził nas do urzędu policyjnego, gdzie na ścianie, co mnie niemało zdziwiło, obok portretu obecnie panującego króla Karola II oraz księcia Michała, wisiały także, tonące w zieleni i opasane biało-czerwoną wstęgą portrety p. Prezydenta I. Mościckiego i p. marszałka Piłsudskiego. Niewiem dlaczego, ale od tej chwili poczułem dla Rumunów znacznie więcej sympatji niż jej miałem dotychczas. Pierwszą moją potrzebą po wyjściu z urzędu policyjnego było skoszto-

JEZIORO.

Na ziemię już spływała,
Noc letnia mleczna cała.
Z za lasu krąg księżyca
Ukazał senne lica.
I prawem swem, władacza
Swój czar tu wnet roztacza,
Posrebrza ciemne wody,
W tem czyni mi przeszkody.
Wiatr znany figlarz stary,
Przynosząc z łąk opary, .
Więc księżyc gniewa się i z żyma,
I walki z nim nie wstrzyma,
Kierunek swych promieni
Wnet w inną stronę zmieni.
Przenosi w głąb jeziora,
By zajrzeć w twarz upiora,
Co z wody wstaje zdradnie,
Gdy tylko noc zapadnie.
Twór wyobraźni — topielica,
Z siniałe usta blade lica,
Tu z ciemnej głębi się wyłania
Młynarza córka, Hania.
Chwilami wzrok swój zwraca
Do chat, gdzie trud i praca
Płynęła jej, jak życie szare,
Co ledwie trwało wiosen parę.
Los dzisiaj marzeń jej nie ziści,
Więc okiem nienawiści,
Spogląda i w swem sercu budzi
Żal do ludzi.
Żywego tutaj niema ducha,
Wiatr zapach tylko niesie,
I śpiew słowików słychać w lesie,
A ona słucha, słucha...
. . . .
Gdy zblednie ciemna noc,
Twór wyobraźni straci moc,
Jeziora ciemne fale
Nie posiadają zgrozy wcale,
I nie ma strachu ni bojaźni,
Bo nie ma tła do wyobraźni.

Z. Żarnecka, G. P. J. S.

wanie arbuza, którego znalazłem u jakiegoś chłopa. Cóż jednak z tego, kiedy z drobnych pieniędzy miałem tylko złotówkę, a za jednego arbuza złotówkę zapłacić, to cokolwiek zadużo. Chłop jednak tak pożądliwie patrzał na nią, przewracając przytem białkami oczu, że aż mnie litość wzięła i dałem mu ją, za co odprowadził mnie do drogi, dziękując o ile mogłem się domyślić, za łaskę, która na niego spadła.

Koniec z końcem jednak złotówka wsiąkła jak lapis. Po godzinnej przeprawie przez kurz rumuńskiej drogi dojrzeliśmy Chocim, który ze swojemi bielonemi ścianami domów podobny był do miasta will. W chwile potem wkroczyliśmy na drogę brukowaną kostką, zupełnie jak u nas Aleja Wolności. Pomyślałem sobie, że jeżeli droga do miasta jest z kostki, to samo miasto musi mieć bruki wykładane szkarłatem. Czekało mnie jednak rozczarowanie i to wprost straszne. Był właśnie jarmark. Ulice okazały się tak brudne, że w porównaniu z niemi ulice naszego Starego Miasta mające znaną sławe, były czyściutkie jak śnieg.

Ruch jak w Warszawie z niewielką tylko różnicą, że w Warszawie ruch samochodowy, a tam zaś ruch świński. Przepraszam za wyrażenie, ale tak jest w rzeczywistości. Na najgłówniejszej ulicy Chocimia stoi policjant po kolana w błocie, z pałką gumową w ręku, a koło niego przesuwa się cały sznur świń, świnek, świneczek, czarnych z białemi łatami. Jest to szczególny typ rumuński. Ruch ten co pewien czas wstrzymuje się na skinienie przedstawiciela władzy, aby przepuścić . pieszych na drugą stronę ulicy. Pozatem miasto nieładne, brudne, z domkami prawie, że wyłącznie wiejskiemi i na dodatek niemożliwie obdrapanemi. Żydowska ludność miasteczka, a jest jej blisko 90 proc., oglądała nas z ciekawością, a szczególnie zaś mnie, który w mundurze P. W. twarzą niegoloną od miesiąca i marsową miną, wyglądałem na wielkiego zawadjaka. Po tryumfalnym przejściu przez miasto, postanowiliśmy zaspokoić nasze żołądki nietyle obiadem, co winem rumuńskim. Niemało usług w wynalezieniu re-

stauracji oddał nam tamtejszy pionier skautingu p. director Valentin Copter, z którym można się było jako tako porozumieć w języku polsko-rumuńsko-ukraińsko - rosyjsko - niemiecko -francuskim.

Obiad spożywaliśmy w towarzystwie pewnego majora, którego przedstawiono nam jako dowódcę garnizonu chocimskiego, spędzając czas na rozmowach o stosunkach polsko-rumuńskich, armji rumuńskiej i stworzeniu Wielkiej Rumunji. Na zakończenie wznieśliśmy toast na cześć Rumunji. Przyznać muszę, że po pierwszym łyku wina, skrzywiłem się tak boleśnie, że mi omało szczęki nie wyskoczyły. Przy dalszych toastach na cześć Polski i braterstwa broni Polski i Rumunji, wina a raczej octu już nie piłem, tylko podnosiłem puhar, a właściwie zwykłą szklankę do ust.

Przy okrzykach „Vive la Pologne" opuściliśmy restaurację odprowadzani z honorami na zamek, który stanowi jedyną atrakcję dla przybyszów obcych w Chocimie. Przedstawia się on wprost wspaniale. Potężne mury opierają się z jednej strony o Dniestr, z drugiej — bronią dostępu do twierdzy, dochodząc do głębokiej fosy. Jedyną pozostałością tutaj rządów tureckich jest wysmukły minaret. Po murach wewnętrznego dzedzińca znać szereg przebudowań jakim ulegał zamek w okresie swej świetności. Chociaż czasy świetności zamku minęły bezpowrotnie, ale pozostały resztki murów, które pamiętają, gdy wojska tureckie odbijały się od nich, widziały polskie rycerstwo, które krwią zdobywało sobie tutaj przydomek „przedmurza chrześcijaństwa". Czego nie zniszczyły ciągłe wojny, zniszczył ząb czasu i dziś pozostały mu jedynie wspomnienia. Powracając z zamku, zapragnąłem wspiąć się na szczyt minaretu, co też z trudem uczyniłem. Gdy znalazłem się na szczycie minaretu zdało mi się, że wierzchołek chwieje się to w jedną to w drugą strone. Gdyby ktoś w tej chwili zobaczył mnie z dołu, pomyślałby, że tańczę Charlestona, w rzeczywistości zaś to nogi mi tak drżały ze strachu, jak w febrze. Nie narażając się więcej na niebezpieczeństwo, schodziłem szybko na dół po krętych i połamanych schodkach, znajdujących się w wewnętrz minaretu. Z ostatnich 15 schodków już nie zeszedłem, ale zdaje mi się, że zjechałem, nie dlatego, żebym się obawiał innego schodzenia, ale dlatego, że mi się noga pośliznęła. Wróciliśmy wszyscy w wesołych humorach, oprócz mnie, który po ostatnim wypadku czułem się nieświetnie. Kupiwszy sobie po arbuzie ruszyliśmy szybko do Polski.

Szedłem, a właściwie wlokłem się ledwo ledwo, niosąc na plecach największego arbuza, coś około 12 kilo. Po pierwszym jednak kilometrze lunął deszcz jak z cebra. Przemoczony do suchej nitki, zmarznięty, zmęczony, głodny, dźwigając arbuza, którego obiecałem sobie zjeść na pierwszym lepszym postoju, przywlokłem się do granicy. Mając chwilę czasu zabrałem się do operacji rozkrajania arbuza.

Lecz o zgrozo! Zamiast arbuza trzymałem w reku zwykłą dynie. Handlarz widocznie mnie oszukał. Przez sześć kilometrów pilnowałem go jak oka w głowie i wszystko nadaremnie. Miałem chęć wrócić się do Chocimia i nagadać obrzydłemu handlarzowi. Na jego szczęście, a moje nieszczęście zawołano nas, abyśmy wsiedli do łodzi, by się przeprawić na drugi brzeg, który był już brzegiem polskim. W chwilę potem odbiliśmy od brzegu. Ciężkie ołowiane chmury z grzmotem przewalały się przez niebo, zsyłając na ziemię całe strugi wody.

Rumunja nas żegnała.

K. Widerski, G.P.H.S.

Popierajmy bezrobotnych!

Pamiętajmy, że siła narodu leży w jego solidarności!

PIESZO WZDŁUŻ HELU.

(Wrażenia z podróży).

Ilekroć spojrzałem na mapę, czy usłyszałem kiedykolwiek w szkole coś niecoś o półwyspie Helskim, ciągle marzyłem, by jak najprędzej ujrzeć na własne oczy tę ciekawą mierzeję.

Korzystając z dłuższego pobytu nad pełnem morzem w okolicy Jastrzębiej Góry, w sierpniu ub. roku, postanowiłem zwiedzić najbliższe okolice.

Pewnego dnia oglądałem latarnię morską w Rozewiu, a kiedy znalazłem się na szczycie obok stojącej wieży ostrzegawczo - obserwacyjnej — przy pomocy pożyczonej od marynarza lornety, skonstatowałem, że niedaleko stąd jest początek półwyspu. Powróciwszy wieczorem do kwatery, zaproponowałem kolegom urządzenie wycieczki na Hel. Lecz znalazłem zaledwie jednego chętnego amatora, który zgodził się towarzyszyć mi w przedsięwziętej wyprawie.

Nazajutrz o świcie, nie powiadomiwszy nawet przełożonego naszej kolonji nadmorskiej, wymknęliśmy obaj cichaczem na całodzienną wędrówkę.

Przebywszy śpiesznie bulwarem spacerowym 8 klm., dzielące nas od startu naszej podróży, znaleźliśmy się w Wielkiej Wsi — Hallerowie, pierwszej stacji kolejowej, w pobliżu Helu, skąd roztaczał się przed naszemi oczyma piękny widok wąskiego pasma ziemi, wciskającego się z majestatyczną powagą w głąb morza i ginącego gdzieś... hen... na dalekim horyzoncie.

Roztaczała się przed nami wielka równina, porośnięta krótkiemi źdźbłami trawy, zlewająca się od strony zatoki z poziomem morza, zaś od strony „wielkiego morza" wzniesiona na kilkanaście zaledwie cm. nad jego poziom.

Równina ta, na której gdzieniegdzie widać tylko kilka drzew, — szeroka na 300 — 400 do 500 m. na odległości 2 klm. wzniesiona jest na 1 m. p. p. m.; na dalszych 5 klm. wznosi się do 5 m. p. p. m., dochodząc w takim stanie do pierwszej na Helu wsi kaszubskiej Wielkiej Wsi i dalej do Chałup (Cejnowa). Jest to mała letniskowa wioska, widać tam trzydzieści kilka drewnianych domków, a obok nich i na brzegu pełno stoi kutrów i różnych łodzi rybackich, które są świadectwem głównego zajęcia tutejszej ludności kaszubskiej. Należy wspomnieć, że wszystkie wsi na Helu są osiedlami rybackiemi, bowiem 60 proc. ogólnej liczby rybaków znajduje się na półwyspie Helskim w pięciu miejscowościach, w których niedługo się znajdziemy. Na szczególną uwagę w Chałupach zasługuje stacja meteorologiczno - ostrzegawcza, czyli ostrzegalnia morska, wyposażona w maszt, wysokości 20 m. Ponadto w Chałupach jest jedna wędzarnia ryb.

Lecz opuszczamy Chałupy i udajemy się w kierunku trzeciej wsi helskiej Kuźnicy. W odległości 1 klm. od Chałup półwysep rozszerza się znacznie, dochodząc do 800 — 900 m.; wzniesienie wynosi tutaj już 11 m. Na całej długości tego rozszerzenia od strony wielkiego morza usypana jest długa grobla, stanowiąca wał ochronny przed naporem wielkiej fali. Półwysep nadal jest równinny, pokryty piaskiem i żwirem, w niektórych miejscach tworzy łąki, na których rosną pojedyńcze, porozrzucane niesymetrycznie drzewa, gdzie niegdzie zaś widać małe bajorka. Po przejściu 1,5 klm. półwysep znów się zwęża do 400 m., opadając jednocześnie nieco ku morzu. Przechodzimy jeszcze kilka klm. lasem i przybywamy do Kuźnicy. Jest to wioska, podobna do Chałup, zabezpieczona wałem od strony zatoki; jest także miejscowością letniskową. Zaznaczyć trzeba, że ostrzegalnia morska w Kuźnicy posiada zamiast masztu niewielki semafor ostrzegawczy. Niebezpieczeństwo silnych wiatrów sygnalizuje się zapomocą ramienia semafora. Jest tutaj 7 wędzarń ryb. Opuszczamy Kuźnicę. Lecz słońce zaczęło silnie dopiekać, to też w stroju kąpielowym podążyliśmy dalej. Przez kilka klm. utrzymuje półwysep tę samą jeszcze szerokość, przyczem wzniesienie dochodzi od 9 do 11 m.



Międzynarodowy mecz piłkarski w Warszawie.

Od Kuźnicy na odległość 3,5 klm. ciągnie się od strony „pełnego morza“ wielka grobla i wał ochronny. Zbliżamy się do Jastarni. W tem miejscu półwysep wciska się znacznie w zatokę, dochodząc od 700 — 1300 m. szer. przy 8 m. wzniesienia. Od strony „wielkiego morza“ ciągnie się gęsty las iglasty, od strony zatoki zaś rozciągają się wielkie łąki. I tutaj w miejscu, gdzie szer. półwyspu dochodzi do 1000 przeszło m., leży Jastarnia, największa wśród polskich wsi na Helu. Posiada ona niedawno wybudowany port rybacki z ładnie urządzoną przystanią „Żeglugi Polskiej“. Wspaniała piaszczysta plaża przyciąga co roku tłumy letników i wielu wycieczkowiczów, to też Jastarnia ma frekwencję roczną przeszło 2000 letników, zamieszkujących w pięknych willach i hotelach. Przy Jastarni znajduje się szopa ratunkowa. Maszt ostrzegalni morskiej, wysokości 24 m., wyposażony jest w reję, przy której wywiesza się sygnały, ostrzegające znajdujące się na morzu okręty przed silnym wiatrem. Jest tu stary, piękny drewniany kościół parafjalny dla całego półwyspu, do którego w niedziele i święta zdążają rybacy z całego półwyspu. Za kilkanaście minut byliśmy już w Borze, małej wiosce rybackiej, letniskowej, podobnej do poprzednich. 10 firm w Jastarni-Borze, prowadzących wędzarnie ryb świadczy o zajęciu ludności.

O godz. 2 po południu udaliśmy się w dalszą podróż. 3 klm. drogi i już znajdujemy się w małej wiosce Juracie. Odtąd półwysep zaczyna się stopniowo rozszerzać i od 1 klm. przechodzi w szerokość do 2 przeszło klm. w okolicy, gdzie znajduje się pierwsza na Helu latarnia morska. Droga stawała się coraz uciążliwsza: pagórkowata powierzchnia, wznosząca się od 16 do 24 m. pn. p. m., pokryta gęstym lasem — z piaszczystemi brzegami — ciągnie się wzdłuż półwyspu do Szwedzkiej Góreczki,

gdzie szer. półwyspu dochodzi do 3400 zgórą m. Następnie zwęża się stopniowo. Stąd udaliśmy się leśną drożyną, prowadzącą do małego osiedla: Bocianie Gniazdo, a potem skierowaliśmy się do jednej z najstarszych miejscowości wogóle na polskiem wybrzeżu, leżącej na samym końcu półwyspu. Jest nią obecnie gmina, dawniej miasto Hel. Do godności miasta Hel został wyniesiony przez wielkiego mistrza krzyżackiego Winricha von Kniprode z Malborga, przywilejem z dn. 17. VIII. 1378 r.

Od czasów przejęcia Pomorza przez Polskę rok rocznie wzrasta znaczenie Helu. Wybudowano tu ładne hotele, kawiarnie z dancingami. Hel jest miejscowością odwiedzaną przez turystów i wycieczkowiczów. Frekwencja letników rośnie z roku na rok: w ubiegłym roku przekroczyła już liczbę 6000 ludzi.

Zwiedziwszy Hel, gdzie na uwagę zasługują także objekty, jak piękny port, ładny, duży stosunkowo dworzec i stary kościół tuż przy porcie, przechodziliśmy się główną ulicą, w której rzadkością jest spokojny dom rybaka; po obu stronach ulicy widać hotele, restauracje, a między niemi cała masa sklepików z bursztynowemi wyrobami; dostaniesz tam jednak i rzeźby zakopiańskie. W dosyć szerokiej ulicy wre latem taki handel, że trudno dosłownie przez nią przejść. Udaliśmy się następnie pięknym parkiem leśnym do latarni morskiej, a stąd wąską ścieżką na plażę. Nadciągała właśnie burza. To też pomogliśmy rybakom na ich prośbę wyciągać łodzie na brzeg. Nie należało to do przyjemności, bo nogi lgnęły w miękkim piasku plażowym, więc wynieśliśmy stamtąd pełne buty piasku.

Ponadto zwiedziliśmy ostrzegalnię morską w Helu. Jest ona wyposażona, oprócz masztu i reji, w semafor wiatrowskazowy, zapomocą którego podaje podaje się do wiadomości znajdujących się na morzu kutrów rybackich i okrętów żeglugi przybrzeżnej kierunek i siłę wiatru w Gdyni i Rozewiu.

Za całodzienne pożywienie służyły nam niesolone śledzie z polskiego morza.

Tak więc przeszliśmy szczęśliwie pieszo wzdłuż całą mierzeję Pucką na 36 klm. długą. Wieczorem udaliśmy się na dworzec, skąd pociągiem wśród grzmotów i błyskawic w ciągu godziny wróciliśmy do Wielkiej Wsi — Hallerowa. Tor kolejowy, ciągnący się wzdłuż całego półwyspu, w niektórych miejscach (około Wielkiej Wsi, Chałup i Kuźnicy) zbliża się do brzegu morza zwłaszcza od strony zatoki

Dzięki troskliwej opiece Władz Polskich, oraz dzięki budowie dróg komunikacyjnych i portów w Helu i Jastarni miejscowości na Helu rozwijają się nadzwyczaj szybko.

Wszak otrzymaliśmy nasze wybrzeże z rąk zaborców w dziewiczym niemal stanie. A dziś! Rozbudowano stary, walący się w gruzy, port w Helu, zbudowano port w Jastarni, połączono Hel linją kolejową z Puckiem, dzięki czemu każda z leżących na półwyspie miejscowości otrzymała bezpośrednie połączenie ze stolicą — wreszcie, buduje się obecnie drogę samochodową, która połączy Puck z Helem.

Edward Olszewski, Szk. Handl.

Peter Rosegger

ŚMIERC MEISSENSEPPA.

W moim rodzinnym domu znajdował się: „Żywot Jezusa Chrystusa, Jego Matki Maryi i wielu Świętych Pańskich“. Prawdziwy skarb, napisany przez ojca Sochema. Była to stara książka; miała szare stronnice z ogromnemi inicjałami czarnej i czerwonej barwy. Drewniany futerał był w wielu miejscach stoczony przez robactwo, a jedną ze skórzanych okładek nadgryzła mysz. Od śmierci mego dziadka nie było nikogo w domu, coby mógł z niej czytać, to też nic dziwnego, że zwierzątka wzięły w posiadanie „Żywot Chrystusa“ Sochema i z „duchowego skarbu“ ciągnęły cielesne pożywienie.

Nadszedłem raz na to ja, mały uczący się abecadła brzdąc, usunąłem robac-



TELEGRAM.

Od własnego korespondenta z Polesia; tekst i fotografję przesłano drogą radjową.

„Wczoraj t. j. dnia (?) znaleziono koło Kamienia — Koszyrskiego niesłychanie ciekawe wykopalisko, pochodzące z epoki staro-poleskiej. Wykopany posąg przedstawia czczonego wówczas przez zamieszkujące okolice Polesia plemię Lik-wik, bożka Olafa. Wykopalisko jest jedynym okazem z tej epoki. Ekspedycja naukowa natychmiast wysłana w celu przeprowadzenia badań, zwróciła specjalną uwagę na krój czapki i fason kaloszy bożka Olafa, jako na rys charakterystyczny ówczesnej epoki. Posąg, którego reprodukcję tu zamieszczamy będzie prawdziwą ozdobą muzeum regjonalnego na Polesiu. Niewątpliwie młodzież częstochowska, tłumnie udając się na P. K. L. (Poleskie Kolonje Letnie), będzie miała sposobność obejrzenia tak ciekawego wykopaliska".

Od Redakcji: Zaznaczamy, że pismo nasze jest pierwsze w Polsce, które tę wiadomość zamieszcza.

---

two z księgi i zatopiłem się w niej. Codziennie czytałem naszym domownikom coś z „Żywota Chrystusa". Młodym parobkom i dziewkom nie podobał się całkiem ten zwyczaj, bo nie mogli wówczas żartować, ani śpiewać. Lecz starsi zato już byli nieco pobożniejsi, przysłuchiwali mi się z uwagą i mawiali:

— Ale też mówi, jak sam proboszcz. A jak to wyraźnie i głośno czyta.

Nabrałem sławy wytrawnego lektora i stałem się poszukiwanym człowiekiem. Gdy ktoś w sąsiedztwie leżał chory, lub umierał, albo gdy umarł i czuwano w nocy przy zmarłym, proszono wówczas mego ojca, bym tam szedł coś przeczytać. Brałem wówczas ogromnie ciężką księgę pod pachę i szedłem. Była to nielada robota to niesienie, gdy się zważy, że ja do tego byłem małym brzdącem.

Raz późnym wieczorem, gdy już spałem w zacisznej i pełnej świeżego powietrza śpiżarni, która mi latem za sypialnię służyła, obudziło mnie pukanie parobka do drzwi.

— Wstawaj prędko, Piotruś, wstawaj.

Meisensepp przysłał córkę i prosi żebyś tam przyszedł co przeczytać, bo on umiera. Wstawaj Piotruś!

Wstałem i ubrałem się pośpiesznie. Zabrałem księgę i poszedłem z dziewczynką nawprost od naszego domu

przez łąkę i lasy. Dom Meisenseppa stał całkiem odosobniony wśród boru.

Meisensepp był w młodości gajowym, później pracował w tartaku i przy drwalach i tam szybko przyszła ciężka choroba.

Ja i dziewczynka, szliśmy tej cichej i gwieździstej nocy przez pustkowie, żadne nie rzekło słowa. Dysząc szliśmy obok siebie. Rad tylko szepnęła dziewczynka:

— Pozwól Piotruś, pomogę ci nieść książkę.

— Nie możesz — odpowiedziałem — przecież jesteś jeszcze mniejsza odemnie.

Po dwugodzinnej drodze rzekła moja towarzyszka:

— Tam już widać światło.

Ujrzeliśmy mdły błysk, wychodzący z okna domu Meisenseppa. Gdyśmy się doń przybliżyli, spotkaliśmy proboszcza, który udzielił choremu ostatnich sakramentów.

— Czy ojciec wyzdrowieje? — spytała cicho dziewczynka.

— Jeszcze nie taki stary, — odrzekł proboszcz.—Jak Bóg zechce, dzieci, jak Bóg zechce.

I poszedł dalej. Weszliśmy do chaty.

Była ona mała, na sposób domów drwali stanowiła ją jedna izba. Na kominie sterczało palące się łuczywo, a przez dymnik nad kominem uchodził dym. Obok komina leżało na barłogu dwóch chłopców i łkało. Znałem ich z lasu, gdzieśmy zbierali jagody, a przytem gubili swoje stado; byli oni kilka lat młodsi odemnie. Na przypiecku siedziała żona Seppa trzymając dziecko przy piersi i patrzyła wielkiemi oczyma na migocący płomień łuczywa. A tuż za piecem, na jedynem łóżku, jakie było w domu, leżał chory. Spał. Wyraz twarzy miał łagodny, zaś przystrzyżony zarost czynił głowę mniejszą, niż wtedy, gdym go widział na drodze do kościoła. Przez blade i współotwarte wargi przechodził ciężki oddech.

Z naszem wejściem wolno podniosła się kobieta i przeprosiwszy, że mnie ściągnięto z łóżka, prosiła bym siadł za stołem i zjadł jajecznicę, którą pozostawił proboszcz.

Wkrótce usiadłem na jeszcze ciepłem po duchownej osobie miejscu i jadłem tą samą łyżką, co i on.

— Teraz śpi spokojnie — wyszeptała kobieta, patrząc na chorego — przedtem wyszarpywał nici z przykrycia.

Wiedziałem, że jeśli ciężko chory wyrywa nici z przykrycia i drapie, to niechybny znak, że „drapie sobie grób“. Ale odpowiedziałem:

— Tak, mój ojciec też to czynił, jak był chory na febrę, ale przecież wyzdrowiał.

— I ja tak myślę, — odpowiedziała — ksiądz proboszcz też tak mówił. — Teraz będę spokojna. Seppel wyspowiadał się, a teraz to tylko muszę się starać, by jaknajprędzej wyzdrowiał. Tylko, że — dodała wolno — ogień na kominie chwieje się to tu, to tam.

Gdy w jakim domu światło niespokojnie się pali, to znaczy, według wiary ludu, że w tym domu zgaśnie życie. Wierzyłem święcie w ten znak, jednak dla uspokojenia gospodyni rzekłem:

— To tylko przez szpary w oknie wchodzi dużo powietrza i jest wiatr. Ja też to zauważyłem.

Gospodyni położyła łkające dziecko na barłogu, dziewczynce, która ze mną przybyła, również kazała iść spać. Zaczęliśmy zatykać szpary w oknach. Wkońcu powiedziała mi stroskana kobieta.

— Przeczytaj co, Piotruś. Będziesz przecież dzisiejszej nocy ze mną czuwał i pomożesz mi skrócić tem czas. Jak on będzie się czuł lepiej, to jemu będziesz czytał. Przeczytaj, bądź tak dobry.

Otworzyłem książkę i szukałem zaznaczonego urywka. Tylko, że ojciec Sochem nie napisał wiele, co mogłoby ukoić ból biednym i cierpiącym ludziom. Ojciec Sochem mniemał, że Bóg jest nieskończenie dobry, a ludzie nieskończenie źli i dziewięć dziesiątych ich powinno jeden po drugim wpaść do piekieł.

Zastanawiałem się, czy to jest naprawdę dobrze, ale nic nie mogłem na to powiedzieć, bo ludzie tylko grzeszyli i

zamiast się poprawić postępowali jeszcze gorzej, niż wpierw. To też, gdyby nie chcieli się poprawić, napewno znaleźliby się w piekle.

Pełne groźby myśli płynęły z książki Sochema jak przekleństwo. Ludziom wesołym, którzy przysłuchiwali mi się, dla pięknego kaznodziejskiego głosu, grzmiałem o karze i zatraceniu rodu ludzkiego, nawet z przyjemnością, ale przy chorych, musiałem uważać, by nie przeczytać jakichś twardych wyrazów, musiałem opuszczać opisy kar za grzechy i wszystkie myśli o karze oświetlać wesołem zabarwieniem.

Również i tego dnia planowałem, że czytając Meisenseppowi, dodam coś o wytrwałości, cierpieniu, miłości do ludzi i co z tego powstaje: wiecznej radości w niebie, gdy wybija nasza godzina.

Wkońcu obudził się i Meisensepp. Podniósł głowę i spojrzał na żonę i śpiące dzieci. Dojrzał mnie i rzekł głośnym i wyraźnym głosem:

— Przyszedłeś Piotruś. Dzięki Bogu. Tylko na czytanie nie będziemy dziś czasu. Anno, bądź tak dobra i pobudź dzieci.

Kobieta zmartwiała, złapała się ręką za serce, jednak zapytała spokojnie:

— Gorzej ci Seppel? Tak dobrze spałeś.

Chory zauważył, że jej spokój nie był prawdziwy.

— Nie martw się, żono, — powiedział — na świecie nie będzie już inaczej. Pobudź dzieci, tylko spokojnie, żeby się nie przestraszyły.

Gospodyni poruszając rękoma podeszła do barłogu, a malcy napół świadomie podnieśli się.

— Proszę cię, Anno, nie szarp dzieci — rzekł chory słabszym głosem. — Mała Marta niech śpi, ona jeszcze nic nie rozumie.

Pozostałem na stronie przy stole, serce zaczęło mi walić jak młotem. Domownicy zebrali się łkając przy chorym.

— Uspokójcie się, — rzekł Sepp do dzieci, — matka rano pozwoli wam dłużej spać. Józia, zapnij koszulę koło szyi, bo ci będzie zimno. A teraz bądźcie dzielni i pozostańcie przy matce, a choćby było wam ciężko, nie opuśćcie jej. Ja pracowałem żmudnie przez całe życie, to też nic więcej wam nie mogę zostawić, jak ten dom i mały ogródek, do tego mały kawałek ziemi. Zechcecie się podzielić, to uczyńcie po bratersku, ale najlepiej będzie, jeśli będziecie razem gospodarzyć i uprawiać rolę. Nie czynię wcale testamentu, bo was wszystkich jednakowo kochałem. Nie zapominajcie o mnie i zmówcie za mnie od czasu do czasu pacierz. Was, moi chłopcy, proszę serdecznie, nie zabierajcie się do kłusownictwa, bo to może mieć zły koniec. Dajcie mi na to dłonie. Tak. Gdyby który z was został drwalem; ja zarobiłem na tem wiele krajcarów. Narzędzia do tego są. A teraz wiecie już, jak się uprawia kartofle; jak sadzi się je w maju, to tak dobrze, jak mawiał mój ojciec:

„Przy kartoflach to tak: Zasadzisz mnie w kwietniu, wzejdę jak zechcę, zasadzisz mnie w maju, wzejdę pięknie“. Uważajcie na to przysłowie. Tak. A teraz idźcie dzieci spać, żeby wam nie było za chłodno, pamiętajcie zawsze o waszem zdrowiu. Najlepsze to zdrowie. Idźcie spać, dzieci.

(Dokończenie nastąpi).

Z niemieckiego przełożył

M. Jędrkiewicz, G. P. H. S.

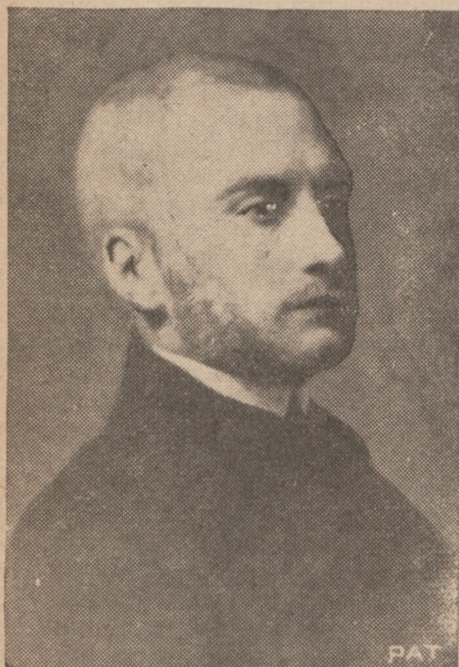


WAKACJE.

Dni są nabrzmiałe owocami
I lato kładzie się na czoło
I niebieskimi uśmiechami
Wonną sonatą pachnie pole.
Przez strugi letnich srebrnych zacisz
Które na dusze tak się sączą,
Krzyczy radosny czar wakacyj,
Piękną melodją niemilknącą.
Na drzewach siedzą miłe słowa
Wesoło łan oddycha złoty,
Pogodny nieba wisi owal
Na dróg idące w dal wykroty
Wtedy jest słodyczy i uczuć pełnia,
Jest czas, ukryty w serca rytmie,
I jest ta cisza niepodzielna,
W której to kwiatem dusza kwitnie.

Stefan Grym, Szk. Rzem.-Przem.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.



Zygmunt Krasiński, najmłodszy z trzech wieszczów, urodził się w Paryżu 19-go lutego 1812 r. Od lat najmłodszych był otoczony czujną i troskliwą opieką ojca, który od roku 1822 zastępował nawet synowi zmarłą młodo matkę. Wincenty Krasiński, który odznaczył się w wojnach napoleońskich oraz jako generał wojsk polskich, był arystokratą dumnym i ogromnie ambitnym. Wpajał w małego Zygmunta, jedynego spadkobiercę wielkiego rodu, poszanowanie jego świetności i troskę o podtrzymanie chwały. Starania te zostały zakończone dobrym wynikiem. Krasiński ufa ślepo ojcu i spełnia jego rozkazy bez względu na wszelkie konflikty duchowe. Poraz pierwszy zaznacza się to wyraźnie w przykrym zatargu podczas pobytu Zygmunta na uniwersytecie w Warszawie. Wbrew postanowieniom kolegów, którzy solidarnie udali się na pogrzeb senatora Bielińskiego, łamiąc rozkaz władzy, Krasiński, na żądanie ojca, był tego dnia jedynym słuchaczem na wykładach.

Zajście uniwersyteckie było dla młodego Krasińskiego pierwszem, bolesnem przeżyciem. Wskutek wrogiego wręcz stosunku współtowarzyszy, Zygmunt opuszcza Warszawę, kontynując studja w Genewie a następnie w Rzymie. Pobyt zagranicą rozszerzył umysłowe horyzonty Krasińskiego zaznajamiając go z ruchem literackim, a także z atmosferą wieku i teorjami społecznemi. W Genewie zawiera bliższą znajomość z Anglikiem, Henrykiem Reever, a następnie przyjaźń.

Wielki i niezatarty wpływ wywarło na Krasińskiego bliższe zetknięcie się z Mickiewiczem, z którym zwiedzał Rzym. Dla starszego i bardziej od niego doświadczonego poety miał zawsze Krasiński wielkie uznanie.

Powstanie listopadowe zastaje Zygmunta w Rzymie. Młody Krasiński rwie się do Polski, pragnie wziąć udział w powstaniu, w szeregu listów błaga ojca o pozwolenie i stacza straszną wewnętrzną walkę między uczuciem miłości do ojca a obowiązkiem Polaka. Chęć Krasińskiego powrotu do Warszawy rozbijała się o zdecydowany opór ojca, z którym walczył, lecz którego przełamać nie zdołał. Pozostaje zagranicą, lecz poczucie winy, że nie wziął udziału w narodowej walce, gnębi poetę tem silniej, że snuł kiedyś wspaniałe marzenia o własnej wielkiej przyszłości rycerskiej. Po upadku powstania Wincenty Krasiński wzywa syna do Polski, a następnie udaje się z nim do Petersburga. Młoda dusza poety wzdraga się na myśl o pobycie na dworze cara i na to jednak musi się zgodzić. W tym czasie Zygmunt zapada ciężko na chorobę oczu, przymusowa bezczynność przyczynia się bardzo do rozwoju duchowego poety, ułatwia mu wyjazd z Polski i powrót zagranicę, gdzie już stale przebywa.

W r. 1859 nastąpiła śmierć poety spowodowana ciężką i przewlekłą chorobą. Zmarł dn. 29-go lutego w Paryżu, mając lat 47. Zwłoki zostały przewiezione

WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ.

Napróżno chcemy umysłu siłą
Wydostać z życia szczęścia czary,
Sercu zapewnić atmosferę miłą,
Kiedy w swej duszy nie chowamy **wiary.**
I próżno z ludźmi walczyć będziemy,
U których serca są pełne podłości,
Jeśli przebaczeń win nie powiemy,
Nie okażemy im ducha **miłości.**
Czyliż tak może błąkać się człowiek
Pośród ziemskiego bytu zawieji,
Wśród ścieszek życia zawsze w wieku
po wiek,
Jeśli nie świta mu płomyk **nadziei.**
Lecz miłość, nadzieja i wiara,
Te trzy najwyższe ducha ludzi cnoty
Utworzą wspólnie jeden związek złoty,
Tam jest potęga oraz szczęścia czara.

Edward Olszwski, Szk. Handl.

do kraju i złożone w grobie rodzinnym w Opinogórze.

Pisać zaczął Krasiński bardzo wcześnie, kiedy był jeszcze w Warszawie. Do pierwszych utworów zaliczony: „Pan trzech pagórków", „Grób rodziny Reichstalów", „Herman Władysław i jego dwór". Utwory te są osunte na tle historycznem. Z późniejszych „Adam Szaleniec" (zatracony) miał odźwierciadlać duchową rozterkę poety z pobytu jego w stolicy Rosji.

W listopadzie 1833 r. Krasiński rozpoczyna pisać „Nieboską Komedję", nazywając utwór ten „obroną religji i chwały przeszłości". Jako dwa główne zagadnienia porusza Krasiński dzieje jednostki oraz walkę społeczną, wypowiada także swój pogląd na zadanie poety. Człowiek, posiadający iskrę bożą nietylko powinien pięknie pisać lecz i działać, dając w ten sposób przykład pracy obywatelskiej. W trzeciej i czwartej cz. tego utworu widzimy dramat społeczny, walkę klas. Krasiński interesował się żywo zagadnieniami wolnościowemi ludów, przyjmując nawet teorję Saint-Simon'a o potrzebie upadku kultury i życia współczesnego a narodzeniu nowego wieku.

Sprawę społeczną uczynił Krasiński osią swego utworu z pełnem poczuciem i świadomością jej doniosłości. Zakończenie utworu nadzwyczaj ciekawe i doniosłe. W walce klas, w tym odwiecznym antagoniźmie społecznym, żadna warstwa nie odnosi zwycięstwa. Motywy walki były za niskie, oparte wyłącznie na materjaliźmie, chęci władzy, egoistyczne. Ani arystokracja ani lud nie postępuje w imię zasad Chrystusa, w imię miłości bliźniego.

W r. 1836 ukazał się „Irydjon", to drugie wiekopomne dzieło, z którego całe pokolenia, jak z Konrada Wallenroda Mickiewicza, uczyły się tak kochać Polskę, jak kochał ową Helladę Grek, Irydjon. Krasiński w tym utworze wskazuje jednocześnie, że cel nie uświęca środków. Irydjon dąży do wyzwolenia Grecji z pod jarzma, lecz kieruje się zemstą. Celu swego nie osiaga, bo Krasiński każe swemu bohaterowi iść do krainy „mogił i krzyżów" i tam wytrwale pracować a zmartwychwstanie z pracy wieków i stanie się wolnym sam wraz z narodem.

Zagadnienia dobra i zła, walki Boga i szatana znajdowało od czasów najdawniejszych wyraz w twórczości artystycznej. Ten problem przedstawiały różne utwory literatury różnych narodów np. Tragedja grecka, Dante, Gothe, Byron, Mickiewicz. Ten problem rozwiązał Krasiński w najdawniejszych swoich utworach.

Wiara w zasadę miłości chrześcijańskiej i jej błogosławieństwo i wiara w zmartwychwstanie Polski występuje najwyraźniej w utworze p. t. „Przedświt". Tu wypowiada się Krasiński jasno o konieczności odrodzenia Ojczyzny i pomszczenia przez Boga jej krzywd. Duchem proroczym widzi poeta zmartwychwstanie Polski. Oto wizja wieszcza:

„Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błębitu ma źrenice —

A jej wzrokiem — błyskawice!
— — — — — — — —
I duch boży na jej czole —
Naokoło już świat nowy!“

W r. 1845 ukazuje się „Psalm miłości“ i „Psalm wiary i nadziei“, w których Krasiński ujmuje objektywnie stanowisko szlachty i ludu. Snuje się też tam obawa i nieobalenie ufności, którą pokładał w narodzie polskim. Już następne lata dowodzą słuszności tej obawy: rok 1846 — rzeź galicyjska. Ostatniem słowem Krasińskiego możemy nazwać „Psalm Dobrej Woli“. Wybawienie Polski czyni wieszcz zależnem od nas samych, biorąc pod uwagę braki i wady duszy polskiej.

Krasińskiego słusznie nazywają poetą przyszłości. Miał umysł filozoficzny, badał i szukał całe życie drogi prawdy. Znalazł ją w chrześcijańskiej zasadzie miłości bliźniego, poczem oparł na tem pewność odrodzenia Polski. Zdając sobie sprawę z potrzeby uogólnienia swych przeczuć stara się, w utworach o jasność przekonań i argumentów.

Twórczość Krasińskiego, szczególnie „Nieboska Komedja“ i „Irydjon“, jako utwory, poruszające nietylko kwestje narodowe, ale i ważne zagadnienia społeczne, ogólnoludzkie, stały się b. aktualne obecnie; są dostępne dla każdego inteligentnego Europejczyka, odbyły się silnem echem zagranicą. Świadectwem tego są wielokrotne przekłady na języki obce. Krasiński więc swemi dziełami wsławił ojczyznę naszą i względem Polski spełnił swe posłannictwo. Dzieła jego przyczyniły się w wysokim stopniu do wzmocnienia i uszlachetnienia ducha Polaków. Dosięgnął on tej wyżyny, na którą wzniósł się Mickiewicz przez „Dziady“ a Słowacki przez „Króla — Ducha“. Bogactwo formy, treść głęboka, filozoficzna zmusza nas do podziwiania jego genjuszu. Zasłużył na cześć i miłość Polaków, na uznanie oficjalne za równego dwom współczesnym mu wieszczom, na oddanie wszelkich zaszczytów.

Nic dziwnego, że coraz to więcej głosów podnosi się, aby prochy tego trzeciego z wielkiej trójcy zostały również złożone na Wawelu.

Niech spocznie w pokoju wraz z prochami równych sobie ,a wtedy słusznie powiemy: „Miasto — muzeum, skarbiec narodu polskiego przechowuje w swych murach wiecznie żywe „jedno“ serce Polski“.

Helena Mączewska, „Nauka i Praca“.

MÓJ PIERWSZY WIECZOREK.

Karnawał w całej pełni, a ja jakoś nie mogę się zdecydować iść na mój „pierwszy w życiu“ wieczorek. Spotykam się z kolegami, którzy zachwyceni swemi wyczynami tanecznemi i syci chwały opowiadają mi o swych tryumfach i powodzeniach na salach balowych. Przytem patrzą na mnie jakoś z góry, jak żołnierz zahartowany w bojach, na nędznego rekruta, i ja — niestety — też muszę przyznać, czuję się czemś niższem od nich i zazdroszczę im owych tryumfów, a przedewszystkiem „tej odwagi“, która pozwoliła im pójść na pierwszy wieczorek. Czuję się niższym od nich, jednak nie okazuję wcale tego po sobie, mówię, że „bosko“ tańczę, tylko, że jakoś nie mogłem być na tym wieczorku, bo krawiec „na złość“ nie skończył ubrania, czułem się niezdrowy — no i wogóle... chciałem być, ale nie mogłem. Ale wreszcie postanowiłem sobie „już raz“ nabrać odwagi i „zadebjutować“.

Postanowienie zamieniłem w bohaterski czyn i po uprzednich wielogodzinnych przygotowaniach, wahaniach i namowach, pod kierunkiem „już doświadczonych“ kolegów, wyruszyłem na ów pamiętny wieczorek. Uzupełniwszy „toaletę“ w szatni, przygotowuję się do ostatecznego bohaterstwa. Widzę, że i moi koledzy niezbyt pewnie się czują, przestępując próg sali tanecznej, jednak

jestem już zdecydowany na wszystko. Aby oswoić się z atmosferą, trzeba się trochę przypatrzyć tańczącym. Myśląc tak, pożeram oczyma tańczące pary i z zazdrością przyglądam się szczególnie mym kolegom, którzy postanowili sobie nie marnować czasu i z werwą obtańcowują swe nieliczne „znajomki". Zamiast oswajać się z atmosferą sali, konstantuję z przykrością, że tracę jeszcze resztki odwagi — a czas ucieka.

Przypatrywanie się zabawie przeciąga się, a ja stoję i stoję.

Co prawda takich jak ja dość pokaźna grupka podpiera ściany, lecz to mnie jednak nie pociesza. Wodzireje, powiewając wspaniałemi wstęgami, zachęcają nas jak mogą, lecz nie odnosi to pożądanego skutku. Widzimy, że niektóre (nawet dość wiele) panienki siedzą w oczekiwaniu na tancerzy, jednak nie wzrusza to nas wcale.

Wreszcie zły do niemożliwości, mówię „raz kozie śmierć" i ze zrezygnowaną miną sadzę do pierwszej z brzegu panienki i proszę ją do tańca. Rumienię się przytem jeszcze więcej niż owa panienka (też pewnie debjutantka). Grają tango. Chwała Bogu, myślę sobie, że taki wielki tłok, można tylko chodzić do taktu, a nawet i nie do taktu, i od czasu do czasu usiłować zrobić jakiś wypad w lewo lub w prawo i to jeszcze bez widoków powodzenia.

Stopniowo ośmielam się coraz bardziej, zagaduję do mej „nieszczęsnej" partnerki, która widocznie nie była zbyt elokwentna, gdyż mimo mych wysiłków i często ponawianych prób, przez czas całego tańca rzekła do mnie, jeśli się nie mylę, dwa razy „tak" i tyleż „no chyba", nie licząc mruknięć pod nosem. Podziękowałem jak bohater i z miną poskramiacza dzikich zwierząt zmieszałem się w gromadkę „nietańczących". Teraz ci, którzy nie zdołali się jeszcze odważyć na żaden taniec, wydawali mi się godnymi litości, więc starałem się wytłumaczyć im, że to wcale nie bohaterstwo — poprostu podchodzisz, kłaniasz się, tańczysz i gotowe! Nic wielkiego!

Orkiestra zaczyna grać fox-trotta. Mój „wyczyn" i namowy widać podziałały, bo wśród gromadki znać poruszenie i kilku wraz ze mną szykuję się do tego tańca. Drugi taniec idzie mi naturalnie lepiej, a po kilku czuję się tak, jakbym był stworzony tylko do tańca. Poszczęściło mi się także lepiej niż na początku, gdyż nie natrafiłem już ani razu na „tak rozmowną" partnerkę, lecz przeciwnie, zawiązywałem bardzo miłe rozmowy, do których tematów było aż za dużo, jak to: tłok na sali, gorąco, poco właściwie napalili w piecach? itd. itd. Rozochociłem się do tego stopnia, że nie zauważyłem jak przetańczyłem dwie „rumby", o których absolutnie pojęcia nie miałem. Nie wiem nawet jak się to wszystko stało. Rozochocony sypałem konceptami i ani się nie spostrzegłem, jak z „debjutanta" stałem się prawie że „amantem". W różowym humorku wracałem „syty chwały" i dumny z siebie do domu.

To był pierwszy wieczorek.

P. L., G.P.H.S.

Z wycieczki Koła Krajoznawczego Gimn. Zw.

do Konopisk.

Zorganizowana przez Koło Krajoznawcze im. W. Pola wycieczka krajoznawcza, prowadzona przez opiekuna Koła, miała na celu zwiedzenie kopalni rudy żelaznej w Dźbowie. Wyżej wspomniana kopalnia należy do „Górnośląskiej Zjednoczonej Huty Królewskiej" i „Laury", zaś bezpośrednio jest oddziałem częstochowskiego T-wa Górniczo-Przemysłowego. Zajmuje ona teren położony na lewo od odcinka linji kolejowej Konopiska — Gnaszyn, a należącej do T-wa B. Hantke.

Wskutek braku rynku zbytu dla rudy, kilka koncesyj tej kopalni (a każda po 250 ha) zostało zatopionych, jak koncesje: „Franciszek", „Józef", „Katarzyna" i „Bolesław", została jedynie wyposażona w najnowsze urządzenia techniczne koncesje „Bernhardt", nazwana tak nazwiskiem głównego dyrektora. O ile zatopione kon-

cesje posiadały rudę małoprocentową (ca 36—37 proc.) na głębokości 18—20 mtr., o tyle koncesja „Bernhardt" posiada rudę średnio procentową (ca 50 proc.) na głębokości 30 mtr. Należy zaznaczyć, że w poprzednich koncesjach z powodu małej głębokości, rudę wyciągano ręcznie, na co wskazują liczne szeregi pagórków, posiadające jeszcze otwory ocembrowane, prowadzące w głąb ziemi. Pagórki te usypane z iłu, dziś już bez znaczenia, są zwane „hautami". Spotyka się niejednokrotnie nie duże obszary byłych koncesji, usiane rzędami „hautów". Na miejscu wpierw ornej ziemi wspomniane „hauty" porośnięte są (w miejscach wilgotnych) gęsto podbiałem.

Ponieważ w głębi ziemi korytarze poszczególnych szybów są silnie zalewane wodą, budowane są specjalne maszyny, mające na celu wypompowanie wody, gdyż w przeciwnym razie woda zniszczy pracę dotychczasową i dalszej prowadzić nie pozwoli. Stosunkowo liczne maszyny pracują bez przerwy (koncesja „Bernhardt" posiada ich trzy, każda o wydajności 3m³ wody na minutę).

Rezultatem pracy maszyn jest nietylko brak wody w szybach, ale nawet w pobliskich wioskach w promieniu 2—3000 mtr. Mieszkańcy zaś radzą sobie w ten sposób, że albo przywożą wodę w beczkach wprost z maszyn, albo od głównego kanału, odprowadzającego wodę do rzeki Konopki, kopią w ziemi przewody, które doprowadzają wodę do domostw i do nawodnienia suchych pól. Bardzo ciekawym jest geologiczny przekrój tego terenu z uwzględnieniem pokładu rudy. Warstwa jej im dalej na północ, tem jest głębiej w ziemi, zaś im dalej na południe tem jej głębokość jest mniejsza.

Na terenie lasów państwowych ruda prawie że wychodzi na powierzchnię, natomiast w sąsiedniej kopalni w Stradomiu już jest na głębokości wywierconej studni artezyjskiej. Grubość pokładu rudy wynosi od 35—40 cmtr. Istnieją różne przypuszczenia co do jej powstania.

Znalezione skamieliny wskazują na to, że ruda jest osadem dna morskiego, czego dowodem są skamieliny o rybim kształcie i jej falisty pokład. Między innemi znaleziono kręgosłup jakiegoś dużego stworzenia oraz węża zwiniętego, długości 0,50 mtr., pokrytego czemś w rodzaju skóry krokodylowej. Także znaleziono skamielinę drzewa z wyraźnemi słojami, podobnego do naszego dębu. Jeden zaś z profesorów petersburskich pomiędzy rudą dopatrzył się kamieni pochodzenia skandynawskiego.

Wykopana ruda zostaje przewożona małą wązkotorową koleją do specjalnych pieców t. zw. „prażaków", które mają na celu przygotowanie jej do dalszego przetwarzania w hutach oraz oczyszczenie jej z różnych nieczystości, które powiększyłyby koszta przewozu.

(Pieców tych jest dzisiaj czynnych tylko 4). Każdy z nich jest dez dna, aby można było z góry wsypaną rudę — dołem usunąć.

Wnętrze ich jest wyłożone cegłą ogniotrwałą, co daje możność utrzymania wysokiej temperatury (ca 800°C). Naładowane rudą wózki na kopalni po przewiezieniu i zważeniu (jeden wózek z rudą ca 1000 kg.) zostają wciągane windą na górną część pieców, gdzie wraz z węglem (przeważnie t. zw. „miałem") zostaje wsypywana do wymienionych pieców. Stosunek węgla do rudy w tej mieszaninie jest zależny od jakości rudy; przeważnie 1:3,4 lub 5. Piece te u góry są przykryte. Dym wydostaje się specjalnemi kominami. Jeszcze przed trzema latami były piece otwarte, ale wskutek wydzielającego się zabójczego dla okolicznych pól jakiegoś gazu i szkodliwego dla ludzi, przykryto je, puszczając owe trujące gazy wysokiemi kominami.

Innym celem w przykrywaniu owych piecy było jeszcze zabezpieczenie pracowników przed niebezpieczeństwem, powstającem skutkiem pękania prażącej się rudy w piecach. Bowiem pękająca ruda wyrzucała niejednokrotnie całe masy kamieni w powietrze, które mogłyby być groźnemi dla ludzi, pracujących na dole. Początkowo starano się przeciwdziałać temu — pokrywając piece siatką od tej strony, lecz i ona nie dawała należytego bezpieczeństwa — bywała bowiem przebijana.

W czasie największego swego rozkwitu kopalnia ta zatrudnia 1200 ludzi, rekrutujących się przeważnie z wyrobników i biedniejszych gospodarzy. Pracowali tu ludzie nawet z bardzo dalekich stron, a osiadając na miejscu po pewnym czasie powiększali szczupłą ilość mieszkańców poszczególnych wiosek. Firma ze swej strony otoczyła tę klasę ludności opieką, budując dla z daleka przybyłych t. zw. baraki, dla wszystkich zaś łaźnię, wyposażoną w najnowsze urządzenia techniczne, lecz już dziś nieczynną. Kopalnia wtedy swym łoskotem, gwizdem poszczególnych maszyn, dawała oznaki życia, zaopatrując w 12.000 ton miesięcznie własne huty oraz Niemcy i Czechosłowację, a dziś ledwo 80 ludzi pracuje „na centrali", sypiąc ukopaną rudę na stos, niby na mogiłę dla przeszłości, reszta zaś już dawno powiększyła grono bezrobotnych.

Koło Krajoznawcze Gimn. Zw.





Żubr w Śląskiem Muzeum w Katowicach

NA PROGU NOWEGO ŻYCIA.

Wiosna jest w całej pełni. Słoneczna, śliczna pogoda odświeża nastroje całej sztuby, znudzonej przykremi pozostałościami zimy. Szeroki ogół „tych młodszych" planuje i realizuje już potrosze zakrojone na wielką skalę mniej czy więcej niedozwolone wycieczki krajoznawcze (t. zw. wagary). Elita młodzieży uczącej się (t. j. PP. Maturzystki i PP. Maturzyści) jest jednak nieco podniecona. Zwyczajnie — matura. Pewnie, że to stary kawał, ale (nawiasem mówiąc) wszystko jest kawałem.

— Cóż to ta wasza dzisiejsza matura, mościewy — prawi mi pewien starszawy pan. — Ja panie święty, pamiętam, jak było za naszych czasów. Trzeba było kuć się „pa ruski" tego wszykiego, co wy dzisiaj i jeszcze więcej — ho! ho!... Ale pamiętam, panie święty, matura z Królestwa, to panie było coś... A dziś — rozczulił się — dziś maturzysta byle chłystek (wtedy, pamiętam, był panie, jeden z drugim pod wąsem), dziś byle chłystek weźmie ten papierek i gdzie idzie? — w życie, panie...

Tu zakrztusił się biedny starowina i patrzeć począł posępnie dzikim wzrokiem tak, że mi łzy nabiegły do oczu. A że równocześnie wzrok mój padł na pięć stronic łacińskich słówek, których się miałem na jutro wykuć, przeto, by okazać się dojrzałym mężczyzną i nie rozbeczeć się, wziąwszy czapkę i przeprosiwszy najuprzejmiej owego pana, wymknąłem się na miasto.

A na mieście ruch.

Specjalnie na deptaku. I kto spaceruje! — Maturzystki. Tłumaczą się wzajemnie, że świeże powietrze jest wogóle potrzebne, a specjalnie po pracy, że przyzwyczajenie jest drugą naturą, że pilny interes ich wywiódł i t. d. i t. d. Ale nie nas brać na kawał — my też coś wiemy — ho! ho!...

Przy sposobności obmawiają się naturalnie zajadle.

— Mój Boże! — szepcze dyskretnie do swej przyjaciółki złotowłosa Irka — jaka ta Gieńka jest głupia. Nic nie umie i chce dostać maturę. I wiesz co — tu zniża głos — ona, pomyśl, buja się w tym podkasałym Olku—, cha!... cha!... cha!... — rozlega się sarkatyczny śmiech.

— No wiesz, moja droga, pewnie, że Gieńka głupia, ale lepiejby było, gdybyś dała spokój Olkowi a zajęła się Staśkiem — odpowiada Janka tonem obrażonej damy.

— Psss... także kawał — syczy towarzyszka; poczem żegnają się bardzo szybko i bardzo zimno.

— No nic, myślę sobie — mężczyźni przecież też coś znaczą! I poszedłem do parku.

I tam czuć wiosnę — w zapachu ziemi, lekkiej woni flircików i podejrzanej jakości perfum.

Ławki zajęte prawie wszystkie, wobec czego spaceruję wśród ironicznych uśmiechów i złośliwych epitecików. Nic mnie to nie wzrusza, zastanawia mnie natomiast rozmówka, jaką przypadkowo usłyszałem (miewam niekiedy dobry słuch).

— Ach, jakiś ty niepunktualny — mówi młodsza niewiasta do swego wielbiciela.

— Przebacz — szepcze on — ale widzisz, ja cię... zawsze... poważam, tylko widzisz... te logarytmy — tu na twarz występuje mu silniejszy rumieniec.

— No dobrze, dobrze — odpowiada bogdanka — pokaż, co masz, tylko mi się nie spóźniaj po raz drugi...

— Pewnie maturzysta — myślę sobie — ale sprytna bestja. Maturzystów więcej już nie spotkołem, wszyscy bowiem są zajęci egzaminami.

Ci „lepsi" udają, że umieją wszystko, ale się bractwo wkuwa, jak może.

— Bo to przecież nie wypada. Osiem lat dobrze — a tu... I belfrada też taka. Pyta tak, jakby chciała wsypać, bo to niby dobry uczeń — narzekają. Inni kombinują.

— Z tego mnie zwolnią, to umiem dobrze, na roczny — dobry, piśmienny — dobry, a... jakoś będzie.

„Gorsi" ładują się brykami i obmyśają genjalne sposoby ich zużycia (ci mogą być strateganii) lub pomagają sobie inaczej — przez odpowiednią propagandę. Więc głosi jeden z drugim, że mu idą lata i musi iść do wojska, lub dyskretnie rozpowiada (ale tak żeby każdy słyszał — nawet belfr), że, jak nie dostanie matury, to popełni samobójstwo i przetnie okrutnym ciosem złotą przędzę młodego życia...

I tak zbliża się matura. Niepewność i nadzieja, spodziewany ból i domniemane szczęście niosą wszystkich ku dalekim światom nieskończoności. I nic dziwnego.

Albowiem „tempus fugit", a „aeternitas manet".

(Czas szybko mija — jak śpiewało się za dawnych, dobrych lat).

E. Basiński G. R. T.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

BAJKA.

Zaszumiały paprocie. Grzyby się ocknęły z długiego snu i zaczęły gwarzyć z roztargnieniem między sobą. Jagody ze zmęczenia zaczęły opadać. Nad tem wszystkiem unosiło się lazurowe niebo.

W taki to czas trzy krasnoludki wybrały się na jeżyny.

Najstarszy nazywał się Filutek, średni Miłutek, najmłodszy Wesołek. Filutek wziął ze sobą koszyk wielkości orzecha, Milutek — łopatkę i polewaczkę, Wesołek zaś, skacząc całą drogę, wyśpiewywał radośnie.

Przyszli wreszcie do krzaczka jeżyn. Ale cóż! Nie mogli go dosięgnąć. Umyślili zasadzić tam grzyba, polewali go kryniczną wodą, by prędzej rós. To też w niedługim czasie grzyb urósł tak wielki, że dosięgnął jeżyn. Toż to była uciecha. Zaraz wszyscy troje wsiedli na niego, jeżyn smacznych do syta się najedli, potem napełnili niemi koszyczki, aby innych krasnoludków poczęstować i ruszyli w drogę powrotną do domu.

A paprocie w lesie szumiały cichutko, jagody pod jasnem słonkiem czerwieniły się, a woń żywicznie napełniała las cały.

„Pierwiosnek", „Nauka i Praca", kl. II.

WIOSNA.

Już drzewa rozkwitły, ptaszki przyleciały,
Już znowu do życia zbudził się świat cały
I czerni się ziemia pługami zorana,
Bo przyszła już wiosna wesoła, kochana.
Wśród łąki zielonej, usianej kwiatami,
O brzegach porosłych licznemi wierzbami,
Strumyczek się wije, bulgoce żałośnie
Jakgdyby na zimę uskarżał się wiośnie.
A z chałup wychodzą wieśniaczki, wieśniacy,
I z śpiewem na ustach ruszają do pracy.
I patrzą na słońce, a choć oczy mrużą,
Weseli, bo trwałą pogodę dziś wróżą.
I idą gromadą, a głośno gadają
I śmieją się szczerze, choć chleba nie mają,
A każda twarz szczera, pogodna, radosna
I oczy rozśmiane, bo cieszy ich wiosna.

J. Peryżanka, G.P.J.S., kl. III.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Od Redakcji.

Następny numer ukaże się pod koniec maja. Wobec tego prosimy o nadsyłanie prac najpóźniej do 10 maja.

W numerze tym ze względów technicznych nie zamieściliśmy paru sprawozdań — ukażą się one w miesiącu następnym.

— Z zebrania informacyjnego dla maturzystów.

W dniu 9 kwietnia b. r. o godz. 5 po poł. odbyło się w Gimnazjum im. R. Traugutta przy ul. Staszyca, zebranie informacyjne dla abiturjentów szkół średnich, urządzone przez miejscowy Legjon Młodych.

Zebranie zagaił p. Włodzimierz Bociański (Uniw. Pozn.), który witając p. dyr. D. Zbierskiego i licznie zebranych uczestników oraz zaznaczając, iż to zebranie ma jedynie charakter ogólny, natomiast szczegółowe informacje znaleźć będzie można w cyklu odczytów, jakie wkrótce mają być wygłoszone. Z kolei zabrał głos p. J. Cymerman (Uniw. Warsz.), który omówił sprawę przyjęcia i studjów na wyższych uczelniach w Warszawie. P. H. Grygosiński (absol. W. S. H. w Warsz.) udzielił dokładnych informacyj o studjach na W. S. H. w Warszawie, a p. J. Sojecki (Uniw.

Warsz.) przedstawił koszta utrzymania w Warszawie.

Następnie przemawiali studenci z Krakowa: p. Łempicki, który zobrazował warunki pracy i utrzymania w Krakowie i p. St. Miłkowski, omawiający warunki przyjęcia na uniwersytet oraz pracę Bratniej Pomocy Uniw. Krak. Na zakończenie p. T. Mastalerz (Uniw. Pozn.) poinformował o studjach i warunkach przyjęcia na Uniwersytet Poznański, poczem zakończył zebranie p. W. Bociański, dziękując p. dyr. D. Zbierskiemu za udzielenie sali, a koleżankom i kolegom za liczne przybycie.

— Z „Bratniej Pomocy" przy Szkole Rzem.-Przem.

Dnia 20 marca w godz. przedpołudniowych, odbyła się uroczysta akademja ku uczczeniu imienin Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Na program złożyło się: referat kol. Klimaszewskiego, który barwnie przedstawił życiorys i zasługi Pana Marszałka, położone około restytucji naszej Ojczyzny. — Deklamacje kol. kol.: Niechciała i Famulskiego, w przerwach orkiestra symfoniczna szkoły odegrała szereg pieśni legjonowych. Na zakończenie pan Dyr. Bartoszewski i p. prof. Słobodzian zachęcili młodzież do wytrwałej pracy, stawiając Marszałka jako wzór silnej i nieugiętej woli oraz niezmiernej wytrwałości — poczem wszyscy zebrani odśpiewali „Rotę" Konopnickiej.

E. S.

— Z akademji żałobnej ku czci ś. p. J. E. ks. biskupa Bandurskiego.

Dnia 16 kwietnia r. b. odbyła się w sali I gimn., uroczysta akademja żałobna ku czci ś. p. ks. Biskupa Bandurskiego, urządzona staraniem Koła Pracy Społecznej przy G. P. H. S. Akademję rozpoczął hymn narodowy, odegrany przez orkiestrę I gimn. Poczem p. dyr. Płodowski wypowiedział słowo wstępne. Na program akademji złożyło się przemówienie p. prof. Słonikowskiego, referat kol. Prażmowskiego, odczytanie przez kol. Wiklika kazania „Ku Wolności" — Ks. Bisk. Bandurskiego, solowa gra na skrzypcach kol. Organowskiego, deklamacja i kilka poważnych utworów „Modlitwa" i „Andante religioso" — E. Mąkoszy oraz „Polonez Elegijny" — Noskowskiego, odegranych przez orkiestrę symfoniczną I gimn. pod dyrekcją p. prof. E. Mąkoszy.

Kol. Organowski wykonał z uczuciem „Chasou-Friste" — Czajkowskiego — Weringera, oraz „Cradle-Song" — F. Szuberta — Elmana.

Kol. S. Niekrasz, który dał się już poznać publiczności jako nieprzeciętna siła deklamatorska w „Szopce" Or-Ota, zadeklamował teraz z uczuciem i doskonałą dykcją wiersz J. Mączki p. t.: „Hetmanowi serc żołnierskich", zyskując zasłużone uznanie publiczności.

H. — O.

— Z przedstawienie w G. R. T.

Uczniowie II gimnazjum urządzili pod doskonałem kierownictwem pp. reżyserów Piekarskiego i Sulikowskiego w dniu imienin Marszałka J. Piłsudskiego przedstawienie, które odbyło się w sali G. P. H. S.

Na program złożył się referat, wygłoszony przez kol. Hłaskę, deklamacja kol. Zielińskiego, oraz sztuka p. t.: „Więzień Magdeburga". Obok uczniów wzięły w tej sztuce łaskawy udział p. p. Stankiewiczówna i Kuźnicka. Sztuka została wystawiona nadzwyczaj starannie. Role obsadzone były przez wykonawców, obdarzonych rzeczywiście dużym talentem dramatycznym.

Wszyscy artyści stanęli na wysokości zadania. Grą swą pełną wyrazu i uczucia wyróżnili się kol. Dąbrowski w roli Mietka, kol. Imbor w roli wesołego legjonisty Szczapy, oraz kolł Jełowicki, który brawurowem wykonaniem sceny końcowej wywołał potężne wrażenie. Wyróżnić również należy p. Stankiewiczównę w roli Berty i kol. Tarnowskiego w roli komendanta twierdzy Magdeburg. Sztuka ofitowała w momenty o wysokiem napięciu dramatycznem. Doskonale wypadły także sceny w obozie jeńców, zwłaszcza te, w których brała górę beztroska wesołość polskich legjonistów nad ponurym nastrojem, panującym w obozie.

H. — O.

Na lekcji psychologji.

Prof: Mózg jest to centrala...

Głos z ławki: Do której nigdy nie można się dodzwonić.

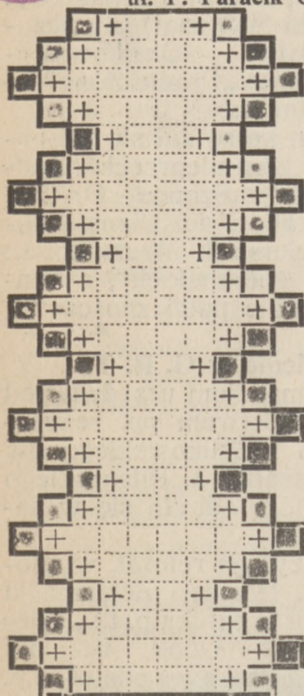
„Ir".



DZIAŁ ROZRYWKOWY.

LOGOGRYF.

uł. F. Faracik G. P. H. S.



W podany logogryf wpisać 24 wyrazy o podanem niżej znaczeniu, tak, aby początkowe i końcowe litery oznaczone krzyżykami dały aktualne rozwiązanie:

Znaczenie wyrazów: 1. tereny skał wapiennych, 2. żerdka z gałęzi, 3. rodzaj rośliny z rodziny motylkowatych, 4. rzeźbiarz holenderski, 5. rzeka na Luzanie (4 lit-ó) 6. angielska fabryka rękawiczek, 7. oaza w Afryce, 8. generał rosyjski, 9. podróżnik angielski, 10. trener koni, 11. ciało krystaliczne, 12. rzeka we Włoszech, 13. spiskowiec polski, 14. słynny filozof polski, 15. feldmarszałek niemiec, 16. znakomity matematyk ang. 17. rzeka na Madagaskarze (bez 5 liter), 18. miasto w Flandrji, 19. imię uczonego żydowskiego, 20. malarz ang., 21. hrabia Rzeszy niemieckiej, 22. określenie Jehowy u żydów, 23. statek arktyczny, 24. broń plemion afrykańskich.

Za dobre rozwiązanie szarad z poprzedniego numeru otrzymują przez losowanie jako nagrody książki:

1) kol. F. Faracik (G. P. H. S.) — B. Błażka „Przez kraj słonecznych dolin i górskiej głuszy".

2) kol. Z. Gongoła (Gimn. Zw.) — L. Parutza i P. Franka — „Cud Ulama Singh'a".

3) kol. R. Kolańczyk (G. R. T.) — M. B. Lepeckiego: „Z Marszałkiem Piłsudskim na Maderze".

Za rozwiązanie szarad z tego numeru Redakcja przeznacza szereg cennych nagród.

KONIKÓWKA.

Uł. R. Z. „Łysy" G. P. R. T.

Ruchem konika „szachowego" odczytać urywek z hymnu M. Romanowskiego.

		tka				do		
ni	je	się,	tak	na	mło	ni?		la
że	muś	cier	ty,	zda	smu	two	mo	stro
den	so	Nim	Cze	do		Cze		ja
ni	z	kwia	we	tna	chwi	ści	bie	ja?
knie	dro	ty	snej	tek	mu	od	Ra	wtó
dze	go	uszcz	po	dzień	do	li	ców	cie
dze	się	no	do	to	skry		ra	
		Ileż	tkwi		nie	kol	tych	
	w				u			

ZAKŁAD OPTYCZNY
K. SOCZEK
II-ga ALEJA Nr. 16.
Poleca: Okulary, binokle różnych fasonów, wyroby stalowe, artykuły i aparaty fotograficzne, klisze, błony, papiery, chemikalja

WSZYSCY KUPUJĄ
MATERJAŁY PISEMNE, POMOCE NAUKOWE, PRZYBORY SZKOLNE, KSIĄŻKI
W SKLEPIE „GOŃCA CZĘSTOCHOWSKIEGO"
II-ga ALEJA Nr. 26. TEL. Nr. 50.
i w „BAZARZE SZKOLNYM" (Filja Gońca)
NARUTOWICZA 20 (DAWN. KRAKOWSKA).
WIELKI WYBÓR. OBSŁUGA SZYBKA i UPRZEJMA. CENY NISKIE.

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Red. odp. kol. **E. Basiński.**

Korespondencje i prace nadsyłać pod adresem Redaktora kol. **E. Basińskiego,** II Gimn. Państw., Aleja Wolności 13.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel. 2-45.